Poświętne, dn. 20 [XII 1865 r.]

Środa

Jeżeli czasem srogie fatum zaweźmie się na kogo, próżne wtedy wysilenia – a fatum zwyciężyć musi.

Zdaje się, że ja jestem przyciśnięty w obecnej chwili ową straszliwą siłą. Jej ciężka dłoń położyła się na piersiach moich i gniecie bez miłosierdzia.

Myślałem z początku, że pojadę z doktorem, a tym sposobem nie wydam dziewięciu złotych na pocztę – ale niestety, to był pierwszy zawód, jaki napotkał mój zamiar wyjazdu.

Weyher miał mi dać koni do Zakroczymia – stamtąd łatwiej by było dostać się jakkolwiek, chociażby piechotą do Warszawy. Zaufany jednak zupełnie we własną przebiegłość, a nawet we własne nogi, dla których 8 mil małą tylko zdawały się przestrzenią – posyłam do wójta o paszport– resztę zdając na wolę bogów. Tymczasem *sive casu, sive consilio deorum immortalium* wójta nie zastałem – pojechał razem z pisarzem do Płocka, powołany tam obowiązkami swego urzędowania, zamknąwszy wszystkie papiery, pieczęcie i paszporty na kłódkę, na kłódkę, powtarzam, do której otwarcia trzeba by chyba mieć zdolności i energię Antka.

Że zaś natura nie obdarzyła mnie hojnie tym talentem, załamałem, smutny, ręce, i wszystkie te przypadki prześladujące mnie nieubłaganie streściły się logicznym następstwem w jedno, dla mnie straszne i zabójcze słowo: nie pojedziesz!

Pierwszą moją myślą było cisnąć czapkę o ziemię – i stanąwszy hardo, powiedzieć losowi, plunąwszy pierwej w garść: Pal cię...

Ale kiedy pomyślałem, jak wszystkie plany, marzenia i przyszłe uciechy moje zniknęły jak klucz w kieszeni wójta, żal mi się zrobiło niezmiernie i nie chcąc się podawać rozpaczy, o mało nie upiłem się w niedzielę w Płońsku.

Na toż bowiem zdało się liczyć przez kwartał dnie i godziny tak jak paciorki różańca, żeby potem jeden cymbał, wójt z Sidlina, zniszczył cały gmach marzeń? Wystaw sobie, jak w snach moich przedstawia mi się Warszawa migająca tysiącem świeczek na choinkach, których złocone szyszki błyszczą mi zdradnie przed oczyma usuwając się od wyciągniętej ręki razem z tłumem różnobarwnym wszystkich krewnych, znajomych, przyjaciół i... i kolegów.

Żarty na stronę; ale przepędzić święta tutaj, kiedy się spodziewało gdzie indziej, to przyjemność mogąca nastroić humor na jaki kwartał.

Rozumiesz zapewne różnicę tego: tu i tam – nie mam więc potrzeby rozszerzać się nad jej doniosłością.

O, w jakże tęczowych kolorach przedstawia mi się Wilia okraszona konceptami Wey[h]era albo preferansik trzydniowy z Jagielskim, takie rajskie rozkosze – czyż można mieniać na tygodniowy pobyt w Warszawie?

Ja sam się dziwię, że miałem zamiar wyjechać – nie obliczyłem się ze wszystkimi przyjemnościami spędzenia świąt na wsi. Jednakże mimo tych wszystkich rozkoszy napisz choć lada jaki list, bo zawszeć to, prawdę powiedziawszy, jedyna rozrywka moja.

Chciałem z początku włożyć list do rodziców w Twoją koperty, ale nie chcę Cię robić ptakiem złowróżbnym – piszę więc osobno.

Piszę dlatego jeszcze przede święty, ażeby uspokoić was co do mojej nieobecności.

Chociaż prawdę mówiąc, nie ze wszystkim straciłem nadzieję przyjazdu – może wójt wrócić przed świętami, tak np. koło czwartku, piątku – w takim razie jeszcze przyjadę. Jest to nadzieja słaba – ale zawsze nadzieja.

Tymczasem kłaniaj się ode mnie znajomym, złóż im życzenia wesołych świąt – matce, p. Wozdeckiemu, bratu – ukłony osobno.

Bywaj zdrów.

H. S.